

## Książę i daktyle. Opowiadanie ateistyczne.

Autor tekstu: Jacek Tabisz

### Książę i daktyle.

Po prostu poszedłem przed siebie. Nic mnie nie trzymało w tym miejscu. Minałem jasne krużganki pałacu. Ogrody lśniły w rannym słońcu, szum fontann zagłuszał nieśmiałe trele przebudzonych ptaków. Marmurowe posadzki były jeszcze chłodne po nocy, stawiałem zatem ostrożnie bose stopy. Wokół mnie śnili strażnicy i dworzanie. Później ktoś powie, że był to sen magiczny, że zaczarował ich jakiś bóg, lub przynajmniej mędrzec, który przybył w te strony i zapatrzył się w wodę płynącą pośród krzewów róży. Lecz to nie prawda. Ujrzałem tych ludzi takich, jakimi byli. Ujrzałem ich śniących. Odsunąłem gałęzie jałowca zasłaniające drogę i pomiędzy pawilonami skierowałem się do bram pałacu. Nie bez trudu odsunąłem monstrialny drąg strzegący wyjścia. Moim oczom ukazała się równina, pełna traw łagodnych pierwszym tchnieniem wiosny. Droga wiała się jakiś czas wśród łąk, po czym ginęła w coraz wyższych grzbieciech wzgórz. Za nimi, jak straż olbrzymów milczały cienie ośnieżonych szczytów. Były to góry, karmicielki rzek.

Gdy oddalałem się od żółtoszkarłatnych murów pałacu, czułem ulgę i nieznaną wcześniej niepokój. Bo przecież tyle już razy tą drogą odchodzili w knieję różni przebudzeni książęta i jakże wiele stworzyli nowych ksiąg i religii... Ja nie napiszę ani słowa. Ani linijki. Chcę po prostu iść przed siebie, i znajdować to co ma być znalezione...

— Czy dołączysz się do nas panie? — spytał jakiś asceta, chudy jak wiatr i spalony jak ziemia.  
— Aha! — zakrzyknąłem triumfalnie. — Wiedziałem, że tak będzie... Ja już rozumiem to, co chcesz poznać, więc na co mi twoje towarzystwo...?  
— Skąd możesz wiedzieć, co ja chcę poznać? — spytał napotkany.  
— Każdy, kto szuka wolności dla siebie, jest przejrzysty jak otwarta księga — oznajmiłem, a asceta skłonił się niepewnie i szepcząc coś melodyjnie zagłębił się znów w lesie.

Po chwili i ja znalazłem się w leśnym cieniu, bo tam właśnie prowadziła droga. Przyglądałem się ciekawie potężnym pniom drzew, gratulując im piękna i sędziwego wieku. Wkrótce dotarłem na polanę i ujrawszy tam jeszcze piękniejszego starca, usiadłem w cieniu jego rozłożystej korony. Wyjąłem z sakwy zawiniątko i zacząłem posilać się daktylem.

— Nie dam się nabrać na to, że ja to ty — rzekł do mnie bóg o posępnej twarzy, masywnej jak skała i jak ona cienistej.  
— I bardzo słusznie — przytaknąłem. Wziąłem drugiego daktyla i wyciągnąłem go przed siebie na otwartej dłoni. — Chcesz się poczęstować? — spytałem z uprzejmym uśmiechem.  
— Głupcze! — krzyknął bóg, a ja dopiero teraz ujrzałem morze, które przyplęnęło za nim. Kilka zmęczonych mew usiłowało nadażyć za przesuającą się plażą. Biednie ptaki. — Głupcze! — powtórzył bóg, śledząc z niesmakiem moje spojrzenie. — Czy nie wiesz, że to ja stworzyłem wszystkie daktyle, palmy daktylowe, oazy w których one rosną i pustynie w których znajdują się oazy...?

— Ale tych nie... powiedziałem spokojnie, nie cofając ręki. Z ust i uszu boga uniósł się dym, lecz po chwili ich posiadacz się zreflektował i uniósł z pogardą mojego daktyla.

— Hm... Rzeczywiście jest inny... — stwierdził cicho bóg najwyraźniej zbity z tropu. Morze zaczęło się odsuwać, na co mewy odpowiedziały żalonym piskiem. — Skąd go masz...? — spytał bóg żując nieufnie wysuszony owoc.

— Nie powiem... — wzruszyłem ramionami. — Nie chciałbym być niegrzeczny, ale czy nie wystarczy ci, że cię częstuję zgodnie z prawem gościnności?

— Coś takiego nie powinno istnieć — zasepił się bóg.  
— Nie jest smaczny? — spytałem szczerze zmartwiony.

— Jest całkiem niezły — bóg machnął niedbale ręką, co wywołało mimowolny piorun i kilka kropli deszczu. — Ale nie o to chodzi...

— To w czym rzecz w takim razie? — spojrzałem na brodacza z ciekawością.

— Skoro nie ja stworzyłem ten daktyl, to kto go uczynił? — bóg zaczesał swoje wężowe splety z nonszalancją.

— Kupiłem go u jakiegoś Araba — westchnąłem. — Ale wyglądał bardziej na kupca, niż stworzyciela daktyli.

— U kupca? — bóg wciągnął nerwowo powietrze.  
— Tak to już jest z daktylami, tutaj nie rosną. Musi być za zimno, albo za wilgotno — powiedziałem to z pewnym żalem, bo lubiłem daktyle. Bóg złożył dłonie i pojawiła się w nich palma. Wbił ją mocno w ziemię i wyrwał spod liścia sporą garść owoców. — To miło z twojej strony — skłoniłem się lekko z uśmiechem.  
— Posadzisz ich więcej...?  
— Nie o to chodzi... — bóg rzucił daktyle pod moje stopy, gdzie natychmiast wyschły. — Mam wrażenie, że zupełnie mnie nie rozumiesz...  
— A powinienem? — wzruszyłem ramionami. — Przecież ciebie nie znam...  
— To dziwne — bóg wsparł się ciężko na dłoni. — Ale może też dlatego twoje daktyle są dziwne. — zapadła cisza. Cień starego drzewa był tak miły, że nie zwracałem uwagi na upływający czas. Bóg też nie, choć siedział w pełnym słońcu. W końcu najwyraźniej podjął jakąś decyzję, bo wyprostował jedną z dłoni i wziął delikatnie w dwa palce moją rękę. — Bóg jestem... — powiedział uroczyście, a gdzieś za nami zagrzmiały trąby.  
— Mzamar, księżę tego tam — wskazałem za siebie. — Miło mi...  
— Co tu robisz Mzamarze? — spytał bóg życzliwie.  
— Przechadzam się — odparłem. — Szczerze mówiąc, zawsze gdy to robię, dzieją się najdziwniejsze rzeczy i nie mogę nigdy zażyć choć odrobiny spokoju... Zaczyna się zwykle ładnie i epicko, a potem, doprawdy szkoda słów...  
— Czy teraz, kiedy już się znamy, możesz mnie poczęstować jeszcze jednym z tych daktyli? — powieki boga przymknęły się lekko i jego twarz przybrała nieco chytry wyraz.  
— Proszę bardzo, choć przecież mamy całą palmę przed sobą — podałem bogu dwa daktyle, żeby nie musiał mnie co chwilę o nie prosić. Bóg wrzucił je do swojej przepastnej szczęki i czas jakiś żuł w milczeniu.  
— Nadal są inne — stwierdził ponuro.  
— Czy to źle? — spytałem nie mogąc powstrzymać ziewnięcia.  
— Jestem stary, mam wiele dzieci — zajęczał bóg. — Czy mógłbyś spełnić prośbę steranego ojca?  
— Znowu...? — bezskutecznie próbowałem ukryć rozczarowanie w moim głosie.  
— Jak to znowu? — również głos boga zdawał się być rozczarowany.  
— Ilekroć pójde się przejść, prędzej czy później ktoś prosi mnie, żebym wracał — wyrzekłem wzburzony. — To jest wprost nieprzyzwoite. Ja już nie chcę być księciem. Tak bardzo, że nazwa mojego kraju zdaje mi się przekleństwem i jak zauważyłeś, nie wymawiam jej już...  
— Czy mógłbyś wrócić do swojego pałacu? — wydusił z siebie bóg tragicznym szeptem.  
— Ale dlaczego mnie o to prosisz? — westchnąłem bezsilnie.  
— Ja... ja czuję, że znikam... — twarz boga rzeczywiście stała się blada i eteryczna. — Jeśli nie wrócisz tam skąd przyszedłeś, osierocę cały świat. Nie lituj się nade mną, ale nad tym wszystkim co widzisz.  
— Ale to co widzę wygląda całkiem nieźle... — rozejrzałem się zdziwiony.  
— Błagam... — w oczach boga pojawiły się łzy. Nie mogłem ścierpieć, gdy ktoś przy mnie płakał. Miałem bardzo miękkie serce, co jest prawdziwym przekleństwem, gdy jest się księciem.  
— No dobrze — powiedziałem wstając. Otrzeptałem ubranie z ziemi. — Ale mam jedną prośbę...  
— Co tylko zechcesz... — bóg uśmiechnął się z wdzięcznością.  
— Posadź wokół mojego zamku trochę palm daktylowych...  
— Twoje życzenie spełnię z ogromną radością... — bóg zaśmiał się głośno, można było zatem wierzyć jego słowom. Cóż za zmiana nastroju, swoją drogą. — Czy mogę się oddalić? — dodał bóg przymilnie, a ja pokiwałem ciężko głową. Mój rozmówca natychmiast zniknął, najwyraźniej dokąds się mu spieszyło.

Przeklinając pod nosem skierowałem się w drogę powrotną. Na szczęście okazałe palmy rosnące wokół ścieżki poprawiły mi nieco humor. Gdy stanąłem na dziedzińcu mojego pałacu, wszyscy jeszcze spali.

— Wstawać! — wrzasnąłem wściekle. Dworzanie zerwali się na nogi.  
— Książę znów ma zły humor — stwierdził przymilnie mój wezyr, dotykając czołem koniuszków moich stóp. — Wasza wysokość znów pewnie raczył się przejść...  
— Skąd o tym wiesz? — wycodziłem przez zęby. Nie dość, że nic mi nie wychodzi, to jeszcze powoli stają się pośmiewiskiem.  
— Gdy książę wraca z wyprawy, zawsze ma zły nastrój... — wezyr skłonił się jeszcze niżej.  
— Ciesz się, że nie zawsze ścina w takich momentach swoich wezyrów — podkreśliłem dobitnie liczbę mnogą, choć wszyscy wiedzieli, że dwóch poprzedników mojego rozmówcy zmarło śmiercią jak najbardziej naturalną. Zakładając oczywiście, że sami sobie w tej naturalności nie dopomogli.  
— Czy mogę coś zrobić dla was, Panie? — spytał wezyr nie przestając padać do mych stóp.

— Idźcie nazbierać daktyli, teraz tu rosną — powiedziałem z godnością i śmiejąc się pod nosem ze zdziwionej miny wezbra udałem się do swoich komnat.

### **Jacek Tabisz**

Jestem poetą, muzykiem i prozaikiem, historykiem sztuki, muzykologiem indyjskim z miłą konieczności, oraz miłośnikiem nauki.

[Strona www autora](#)

[Pokaż inne teksty autora](#)

(Publikacja: 22-01-2010)

[Oryginał..](http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7093) (<http://www.racjonalista.pl/kk.php/s,7093>)

Contents Copyright © 2000-2010 Mariusz Agnosiewicz

Programming Copyright © 2001-2010 Michał Przech

Autorem portalu Racjonalista.pl jest Michał Przech, zwany niżej Autorem.  
Właścicielami portalu są Mariusz Agnosiewicz oraz Autor.

Żadna część niniejszych opracowań nie może być wykorzystywana w celach komercyjnych, bez uprzedniej pisemnej zgody Właściciela, który zastrzega sobie niniejszym wszelkie prawa, przewidziane w przepisach szczególnych, oraz zgodnie z prawem cywilnym i handlowym, w szczególności z tytułu praw autorskich, wynalazczych, znaków towarowych do tego portalu i jakiegokolwiek jego części.

Wszystkie strony tego portalu, wliczając w to strukturę katalogów, skrypty oraz inne programy komputerowe, zostały wytworzone i są administrowane przez Autora. Stanowią one wyłączną własność Właściciela. Właściciel zastrzega sobie prawo do okresowych modyfikacji zawartości tego portalu oraz opisu niniejszych Praw Autorskich bez uprzedniego powiadomienia. Jeżeli nie akceptujesz tej polityki możesz nie odwiedzać tego portalu i nie korzystać z jego zasobów.

Informacje zawarte na tym portalu przeznaczone są do użytku prywatnego osób odwiedzających te strony. Można je pobierać, drukować i przeglądać jedynie w celach informacyjnych, bez czerpania z tego tytułu korzyści finansowych lub pobierania wynagrodzenia w dowolnej formie. Modyfikacja zawartości stron oraz skryptów jest zabroniona. Niniejszym udziela się zgody na swobodne kopiowanie dokumentów portalu Racjonalista.pl tak w formie elektronicznej, jak i drukowanej, w celach innych niż handlowe, z zachowaniem tej informacji.

Plik PDF, który czytasz, może być rozpowszechniany jedynie w formie oryginalnej, w jakiej występuje na portalu. **Plik ten nie może być traktowany jako oficjalna lub oryginalna wersja tekstu, jaki zawiera.**

Treść tego zapisu stosuje się do wersji zarówno polsko jak i angielskojęzycznych portalu pod domenami Racjonalista.pl, TheRationalist.eu.org oraz Neutrum.eu.org.

Wszelkie pytania prosimy kierować do [redakcja@racjonalista.pl](mailto:redakcja@racjonalista.pl)